

Kiedy pudło kłamstw prawdę ci powie

— Z sejfu przedsiębiorcy skradziono prawie pół miliona złotych. Przebadałem jego pracowników. Okradł go praktykant — mówi Jacek Bieńkowski, jeden z największych w Polsce specjalistów od badań na tzw. wykrywaczu kłamstw.

Rafał Bieńkowski
r.bienkowski@gazetaolsztynska.pl

— *Czy wykrywacz kłamstw naprawdę można oszukać?*
— Bardzo często pada to pytanie, kiedy broni swoich opinii w sądach. Odpowiadam zawsze krótko: urządzenia oszukać się nie da, bo ono w sposób ślepy rejestruje te zmiany psychofizjologiczne, które zachodzą wewnątrz organizmu i na które dana osoba nie ma wpływu. Natomiast eksperta oczywiście można oszukać, jeżeli ma małe doświadczenie i w czasie badania nie zauważy, że taka osoba zachowuje się nienaturalnie. Bo tym samym chce zafalszować wyniki.

— *Na jakich zasadach działa w ogóle to urządzenie?*

— Na początku trzeba wiedzieć, że to jedna z metod identyfikacji kryminalistycznej, która w tym przypadku zajmuje się śladami pamięciowymi. Czyli nie ma to nic wspólnego z wykrywaniem kłamstw. Jeżeli padają takie pytania, to od razu odsyłam kogoś takiego do wróżki lub psychologa. Jest to natomiast metoda naukowa, która ma tradycję ponad stu lat. Naukowo dowiedziono, że osoba, która aktywnie uczestniczy np. w przestępstwie i chce to świadomie ukryć, inaczej reaguje poprzez zmiany psychofizjologiczne w postaci

ciśnienia i tętna, oddechu oraz reakcji elektrodermalnej, popularnie mówiąc zmienia się jej oporność skóry. Bodźcem, który powoduje określone zmiany w organizmie, jest pytanie testowe. Jeśli ktoś ukrywa wiedzę na temat konkretnego zdarzenia, reaguje inaczej niż osoba niesłusznie podejrzewana. Ale zdaniem części procesualistów, osoba, która została zatrzymana w sprawie i aresztowana, może reagować podobnie jak rzeczywisty sprawca. Jest to błędna opinia i mogę tak mówić, bo zajmuję się tymi badaniami od ponad 20 lat na użytek organów ścigania. Wiele moich opinii było ocenianych

przez niezawisłe sądy, które w swoich orzeczeniach bardzo wysoko oceniały przydatność tych badań.

— *Teoretycznie sprawa wydaje się być prosta. Wystarczyłoby np. w przypadku każdego morderstwa badać wszystkich podejrzanych wariografem, aby wykryć sprawcę. Ale jednak tak nie jest. Grono niedowiarków jest duże?*

— Uczestniczyłem pośrednio w nowelizacji prawa karnego, wydając ekspertyzę na potrzeby kancelarii Sejmu na temat znaczenia tych badań i spotkałem się z negatywnymi ocenami ze strony niektórych znanych zresztą procesualistów. Ale osoby, które wypowiadają się o tym negatywnie, nie mają dostatecznej wiedzy, aby taką tezę budować. Na dowód tego, co

mówię — a wiem, co mówię, bo za to mi płacą — mam szereg orzeczeń sądu co do wartości moich opinii. Przykładowo prokuratura w Poznaniu badała sprawę z 1996 r. dotyczącą podejrzeń w stosunku do sędzie-

go sądu rejonowego o uprowadzenie 12-letniego chłopca dla okupu. Sędzia domagał się tych badań, bo liczył, że oszuka wariograf.

— *Mocno się zdziwił?*

— Stwierdziłem nie tylko, że sędzia brał udział w uprowadzeniu chłopca, ale również w jego zabójstwie. Na podstawie przygotowanych wcześniej testów wskazałem nawet miejsce, gdzie tego chłopca należy szukać. I rzeczywiście w tym rejonie został odnaleziony, ale martwy. Został uduszony sznurem.

— *Wyczytałem, że w pana ofercie jest nawet pozycja mówiąca o badaniach lojalności i uczciwości pracowników firm. Aż strach szukać pracy.*

— Oprócz mojej pracy dla organów ścigania, wykonuję również badania w sprawach komercyjnych na zlecenie różnych firm, ale też osób prywatnych w sprawach, gdzie popełniono przestępstwo. Zajmuję się też badaniem osób, które mogły być zamieszane w oszustwa w firmach, włamaniach, przeciekach tajnych informacji.

— *Biznesmeni często proszą pana o pomoc?*

— Pracodawca ujawniając w swojej firmie np. poważne kradzieże, dzwoni do mnie z prośbą o zweryfikowanie, czy wśród wytypowanych osób są nieuczciwi pracownicy. Jedną ze spraw wydarzyła się pod Poznaniem, gdzie pracodawca na początku miał kradzież laptopa, później z 40 tys. zł gotówki ktoś podebrał mu 7 tys. zł. Ale generalnie nie reagował, bo uważał, że to dla niego zbyt małe szkody, aby to nagłaśniać.

— *Kiedy nie wytrzymał?*

— Zareagował dopiero, kiedy skradziono mu z sejfu w mieszkaniu prawie pół miliona złotych. Zgłosił sprawę miejscowej policji, ale po wizycie w domu i wstępnych oględzinach funkcjonariusze stwierdzili, że się tym nie zajmą, bo nie było włamania i ich to nie interesuje. Facet poszukiwał ostatniej deski ratunku i były tym badania wariograficzne. Poprosił

mnie, żebym sprawdził siedmiu pracowników. W wyniku badań wytypowałem osobę będącą w zasadzie uczniem, który został przyjęty jedynie na praktykę. On i jego rodzina wiele zawdzięczał pracodawcy, bo mocno wspierał ich finansowo. A ten młody chłopak wziął te pieniądze. Klucz leżał pod regalem, otworzył sejf, zabrał gotówkę. I właściciel wpadł w amok, szok, bo pół miliona to w końcu znaczna kwota. Po badaniach pokazałem temu młodemu człowiekowi zapis, dając wstępną ocenę, aby mógł się odnieść do swoich reakcji. Chłopak widząc, że ekspert wie wszystko, po badaniu napisał mi oświadczenie, że w tym i tym dniu po badaniu poligraficznym w sprawie kradzieży gotówki, postanowił z własnej woli przyznać się do tej kradzieży i oddać ukryte pieniądze właścicielowi. Bo nie zdążył ich wydać. No i przedsiębiorca je odzyskał, ale tylko dzięki moim badaniam, bo policja — mówiąc kolokwialnie — sprawę olała.

— *Kiedy zainteresował się pan kryminalistyką?*

— Interesuję się nią już od ponad 40 lat. Po ukończeniu szkoły średniej wybrałem szkołę wojskową, gdzie szkolili techników kryminalistyki. Uzyskałem ten tytuł i przez ponad 15 lat pracowałem jako technik, ujawniając ślady i zabezpieczając miejsca przestępstw w wojsku. Byłem również oficerem dochodzeniowo-śledczym, gdzie prowadziłem również sprawy karne popełnione w wojsku. Wariografem zająłem się profesjonalnie w 1989 r., kiedy wróciłem z powrotem do laboratorium kryminalistyki komendy głównej żandarmerii wojskowej. Zostałem przyjęty na etat specjalisty od badań wariografem. Zostałem sam z workami z tysiącami ro-



Fot. materiały prywatne

Przebywałem praktycznie wszystkie znaczące osoby ze wszystkich partii. Pracowałem również na zlecenie prokuratury w Wałbrzychu, gdzie podczas wyborów kupowano głosy.

lek i dwoma urządzeniami. Zdobywają również wiedzę teoretyczną, starałem się oczywiście zgłębić ją praktycznie. Szukałem kandydatów, żeby eksperymentować na nich, uczyć się. Więc jak wychodziłem z pokoju w jednostce, to wszyscy uciekali w poplochu, bo wiedzieli, że szukam kolejnego kozła, który siądzie w moim fotelu (śmiejąc).

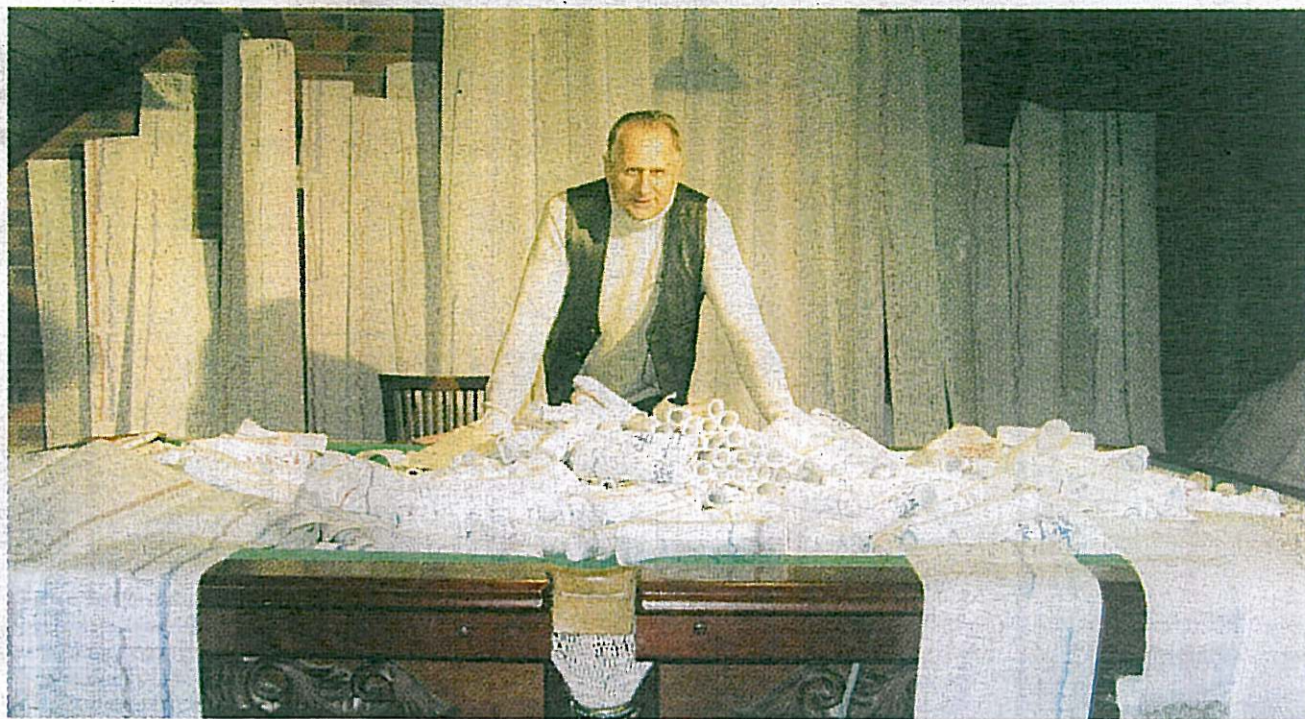
nych etapach jej popelniania, czyli w momencie zabójstwa, rozczłonkowania zwłok, ukrycia ich, zacierania śladów. Sprawa była bardzo trudna, bo bezdomni są osobami specyficznymi. Mają szereg różnych ułomności natury fizycznej, psychicznej, uzależnienia, choroby. Ale sądy dały wyraz, że taka metoda jest pomocna.

— Jaka była najtrudniejsza sprawa, którą pan prowadził?

— Dotyczyła znalezienia rozczłonkowanych zwłok prostytutki na Plantach w Krakowie. Śledztwo zostało wszczęte w 2006 r., ale zostało potem umorzone z powodu niewykrycia sprawcy. Ponownie podjęli się jej funkcjonariusze z tzw. „Archiwum X” krakowskiej policji i poprosili mnie o włączenie się do zespołu. Przez trzy lata przebywałem 21 bezdomnych osób, wśród których siedem wskazałem jako posiadające związek z tą zbrodnią na róż-

— A jacy znani Polacy zgodzili się zasiąść w pana fotelu?

— Może zacznę od waszego Olsztyna. Miałem kilka lat temu zlecenie, żeby przed wyborami na prezydenta przeprowadzić badania w stosunku do kandydatów, z urzędującym wówczas prezydentem włącznie. Celem badań było stwierdzenie, czy w głoszonych przez nich hasłach przedwyborczych są prawdziwe zamierzenia. Zgłosili się do mnie wszyscy kandydaci, natomiast ówczesny prezydent powiedział, że w takiej sesji nie będzie uczestniczył.



Potem czas pokazał, dlaczego. I nie będę tego komentował, bo wszyscy wiedzą, jak jego losy się potoczyły.

— Politycy często do pana przychodzą?

— Przebywałem praktycznie wszystkie znaczące osoby ze wszystkich partii. Pracowałem również na zlecenie prokuratury w Wałbrzychu, gdzie podczas wyborów kupowano głosy.

— To który polityk jest największym kłamczuchem?

— Trudno dawać takie oceny. Zazwyczaj politycy zgłaszają się na badania przed wyborami, żeby pokazać, że są uczciwi i będą wspierali swój elektorat.

— Ma pan więc pewnie dużo pracy przed wyborami.

— Mam, ale moim zdaniem tego typu badania nie są najlepszą metodą, aby oceniać polityków. Powinien oceniać ich wyborca.

PUDŁO KŁAMSTW

Wariograf, poligraf (zwany potocznie wykrywaczem kłamstw lub detektorem kłamstw), został wynaleziony w 1921 roku przez Johna Augustus Larsona, studenta Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley we współpracy z lokalnym policjantem.

W polskim prawie z badania poligraficznego organy procesowe mogą skorzystać jedynie poprzez zlecenie przeprowadzenia badania wykwalifikowanemu biegłemu i sporządzenie przez niego odpowiedniej ekspertyzy, przy czym na przeprowadzenie badania wymagana jest bezwzględna zgoda osoby badanej. Ekspertyza w postępowaniu sądowym nie może stanowić dowodu.

Dokładność testów poligraficznych jest sprawą dyskusyjną. Krytycy twierdzą, że na badanie ogromny wpływ ma sposób przesłuchiwanie czy zadawania pytań. Na niekorzyść wariografu świadczy też przypadek Aldricha Amesa — rosyjskiego szpiega w USA, który dwukrotnie przeszedł pomyślnie badanie poligrafem bez wykazania żadnych nieprawidłowości. W psychologii opracowano wiele innych sposobów wykrywania kłamstwa. O tym, czy dana osoba kłamie, można wnioskować, obserwując ruchy jej oczu, ton głosu, gestykulację i inne komunikaty niewerbalne.

Oprac. na podst. Wikipedia.pl

REKLAMA

PROGRAM REGIONALNY
NARODOWA STRATEGIA SPÓJNOŚCI

„Warmia i Mazury regionem zjednoczonej Europy”

Projekt dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia i Mazury na lata 2007 – 2013 oraz z budżetu samorządu województwa warmińsko-mazurskiego

Statuetki i wyróżnienia dla najlepszych firm i instytucji w regionie
Nagrodzeni za jakość

7 listopada, podczas uroczystej Gali Jakości na olsztyńskim zamku, szefowie firm i instytucji odebrali nagrody przyznane w konkursach **Warmińsko-Mazurska Nagroda Jakości** oraz **Najlepszy Produkt i Usługa Warmii i Mazur**.

Nagrody wręczane podczas corocznej gali to jedne z najważniejszych wyróżnień, jakie samorząd województwa może przyznać najlepszym firmom i instytucjom. Oba konkursy odbywają się w ramach Warmińsko-Mazurskiego Programu Promocji Jakości, który w regionie realizowany jest już od ponad 13 lat. Do tegorocznej XIII edycji Warmińsko-Mazurskiej Nagrody Jakości zgłosiło się 37 organizacji, w szkoleniu wzięły udział 32 organizacje, a samoocenę złożyło 14 z nich. Laureatami XIII edycji zostało 13 organizacji. W tej edycji główne nagrody WMNJ - Statuetki Doskonałości Zarządzania otrzymali:

- w kategorii organizacje produkcyjne i usługowe: Żegluga Ostródzko-Elbląska Sp. z o.o. w Ostródzie,
- w kategorii organizacje publiczne: Miejski Szpital Zespolony im. Mikołaja Kopernika w Olsztynie i Wojewódzki Specjalistyczny Szpital Dziecięcy im. prof. Stanisława Popowskiego,
- w kategorii organizacje edukacyjne: Zespół Szkół Gastronomiczno-Spożywczych w Olsztynie.

Dwie Statuetki, nagrody specjalne za popularyzację w regionie problematyki Zarządzania przez Jakość otrzymali: Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie oraz pan dr inż. Mirosław Recha, Sekretarz Polskiej Nagrody Jakości, Członek Komitetu Warmińsko-Mazurskiej Nagrody Jakości.

Do IX edycji Konkursu Najlepszy Produkt i Usługa Warmii i Mazur jury nominowało 35 produktów i usług. Jury przyznało 11 statuetek, w tym jedną – specjalną, 9 wyróżnień I stopnia i 8 wyróżnień II stopnia.

Nagrodę specjalną – statuetkę NPIUWIM za promocję jakości produktów lub usług w regionie otrzymał Instytut Rozrodu Zwierząt i Badań Żywności Polskiej Akademii Nauk w Olsztynie.

Podczas Gali Jakości nie zabrakło akcentu artystycznego. Rozdanie nagród uświetnił występ dziewczęcego chóru „Cantabile” pod dyktando Agaty Wilińskiej. Więcej na temat obu konkursów można przeczytać na: www.warmia.mazury.pl, zakładka „Turystyka i promocja”.

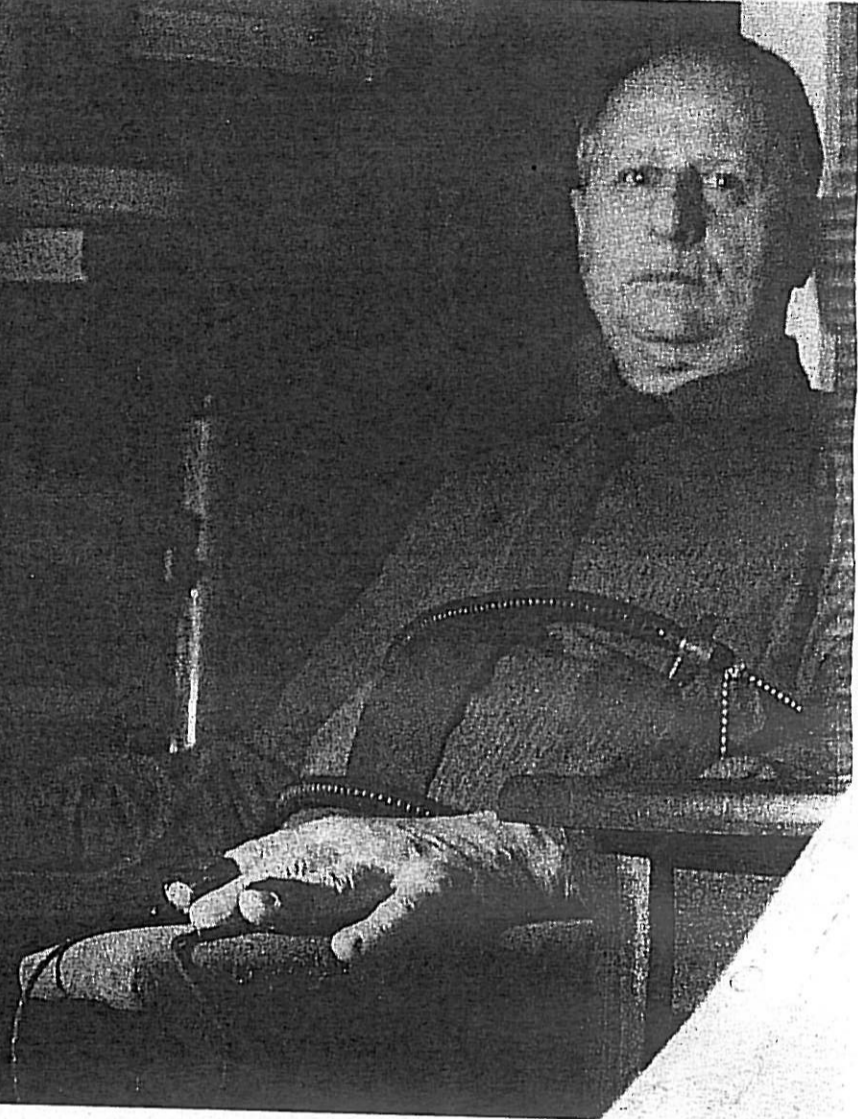
WARMIJA MAZURY

419013obr-a-W

WITAMY W POLSCE EKSTRA

PANIE PALIKOT, CZY JEST PAN OBRZEZANY?

- Ta praca to nie jest zabawa
- od ponad 20 lat mam do czynienia z najgorszymi, najohydniejszymi zbrodniami, jakie można sobie tylko wyobrazić - mówi Jacek Bieńkuński, ekspert od badań wariograficznych



JUSTYNA POBIEZIŃSKA: Nad czym pan teraz pracuje?

JACEK BIEŃKUŃSKI: Za kilka dni jadę wyjaśniać sprawę, o której było głośno. W 1999 r. na Wiśle w Krakowie cumował pchacz. Coś się stało ze śrubą, więc nurek zszedł pod wodę i wypłatał z niej jakiś materiał. Okazało się, że to ludzka skóra. Ktoś z niej uszył kamizelkę. Ktoś w niej chodził. Po badaniach DNA okazało się, że to skóra studentki, która zaginęła kilka lat wcześniej. Wyszła na uczelnię i już nie wróciła do domu. Jest skóra, nie ma ciała. Teraz śledczy starają się zawęzić krąg osób zamieszanych w tę sprawę, znaleźć nowe dowody. Pomagam im w tym. Nic więcej nie powiem, sprawa jest w toku. Ta historia mną wstrząsnęła. Jak badałem jedną z wytypowanych osób i widziałem, że może mieć z tym coś wspólnego, siłą powstrzymałem się od torsji. Zachodzi uzasadnione przypuszczenie, że sprawca wyprawił ludzką skórę, uszył z niej kamizelkę i w niej chodził.

Czego, w przypadku takiej sprawy, można się dowiedzieć dzięki wariografowi?

- Nie zajmuję się wykrywaniem ani prawdy, ani kłamstwa. Ustalam, czy u badanej osoby są zarejestrowane w systemie nerwowym ślady związane z jakimś zdarzeniem. Jeśli ta osoba zataja jakąś wiedzę w sposób świadomy i zamierzony, reaguje inaczej niż osoba w coś wplątana czy niesłusznie podejrzewana. Z mojej opinii wynika na przykład, kto uczestniczył w zdarzeniu, gdzie ewentualnie ukryto dowód przestępstwa, jakimi narzędziami zbrodni się posługiwano, jaki był motyw. Te wszystkie elementy weryfikuje się poprzez przesłuchania, konfrontacje, przeszukania terenu i wiele innymi środkami.

Medialnie przyjęło się, że poligraf (zwany zamiennie wariografem) nazywa się wykrywaczem kłamstw. Przecież tej nazwie tak zwany milczący test, kiedy osoba badana w ogóle nie odpowiada, lecz jedynie słucha zadawanych pytań. Skoro nic nie mówi, nie kłamie. Ale ciało reaguje na bodźce, którymi są tu pytania dotyczące wyjaśnianej sprawy. Oczywiście o ile osoba badana świadomie ukrywa jakieś fakty, które mogą pomóc w jej wyjaśnieniu.

Kogo pan badał?

- Wszystkie środowiska, od aktorów i polityków po bezdomnych. Politycy zgłaszają się w okresach przedwyborczych, by pokazać, że mają jak najczystsze intencje, i że chcą dobra ogółu. Badałem mafiosów z Pruszkowa i Wolomina oraz najgorszych, najbardziej zwyrodniałych przestępców, w tym pedofilów.

Czy ktoś badał się u pana, by oczyścić się publicznie z zarzutów?

- Miałem badać Lecha Wałęsę, ale wycofał się w ostatniej chwili. Wcześniej prezydent użalał się dziennikarce, że wielu jego dawnych przyjaciół stara się go zdyskredytować i nazywa „Bolkciem”. Zaproponowała mu: „Przebadaj się pan i oczyść”. Zgodził się. Dostałem telefon z Warszawy, z redakcji „Newsweeka”, czy przebadam bardzo ważną osobę na Wybrzeżu. Dla mnie człowiek to człowiek, wszystkich traktuję jednakowo: czy to ktoś znany, czy przestępca. Moją rolą jest wydać obiektywną i rzetelną opinię. Robię to całe życie. W drodze na Wybrzeże dowiedziałem się, że Lech Wałęsa odmówił, bo jego doradcy go od tego odwiedli. Powiedzieli, że to niepoważne. I w tym przypadku chyba mieli rację.

Pytał pan Janusza Palikota o to, czy jest obrzezany.

- Janusza Palikota badałem przed ostatnimi wyborami do Sejmu RP na zlecenie redakcji „Super Expressu”. Na badanie przyjechał w czerwonej koszuli; wyjaśnił, że to na znak zwycięstwa. W ostatniej chwili redakcja dołożyła mu jeszcze jedno pytanie... Więc pytam: „Panie Palikot, czy jest pan obrzezany? Bo na ziemi lubelskiej wieść nie sie, że chyba pan jest”. Odpowiedział: „Nie”. Z zarejestrowanej reakcji wynikało, że faktycznie nie jest, ale postanowiłem go dodatkowo sprawdzić i powiedziałem: „Niech się pan dobrze zastanowi, bo za ścianą jest lekarz, który zaraz pana przebadają i zweryfikują pańskie słowa”. Oczywiście mu się zrobiły kwadratowe, ale znowu odpowiedział twardo: „Nie”. Odczekałem parę sekund i mówię: „I bardzo dobrze, panie przewodniczący, bo tak właśnie wyszło”.

Wynajmują pana prywatnie firmy, w których szuka pan złodziei?

- Czasem tak. Właśnie zgłosiła się jedna pani dyrektor, która poprosiła

o przebadanie swoich pracowników. Ktoś jej ukradł laptop. Nie chodzi jej o sprzęt, bo był niewiele wart, ale o sztukę, którą miała na twardym dysku. Pisała ją kilka lat. Dała złodziejowi ostatnią szansę, jeszcze może oddać komputer. Jak przebadam wszystkich, to go zdemaskuję. Tak było w wielu podobnych sprawach, gdzie pokrzywdzeni odyskiwali skradziony towar lub duże sumy pieniędzy. Organa uprawnione do ścigania tego rodzaju przestępstw nie były w stanie pomóc.

Dlaczego?

- Nie będę tego wyjaśniał.

Jak został pan poligrafem?

- Poligraf zobaczyłem po raz pierwszy w 1969 r., kiedy pracowałem w laboratorium kryminalistycznym w Wojskowej Służbie Wewnętrznej (w tej, jak to określa Jarosław Kaczyński - wrogiej, przestępczej organizacji). Policja ma swoich ekspertów, ale w tym temacie to wojskowi zawsze mieli najlepsze osiągnięcia. Na tego typu urządzenia było w tamtych czasach embargo. Ale mieliśmy dobre służby specjalne, więc dotarliśmy do określonej osoby na Zachodzie i ta osoba także urządzenie zdobyła. Byłem jednym z pierwszych ludzi przesłuchiwanym na tamtym poligracie Keelera. Z jednej strony bałem się, że coś się wyda, z drugiej - niczego przecież nie ukrywałem. Byłem młody, niewinny, miałem 19 lat.

Jak długo w naszej pamięci utrzymują się ślady wydarzeń?

- Wielu znanych procesualistów uważa, że jeśli od wydarzenia upłynie rok, nawet pół, nie ma co badać. Ostatnio policja wróciła po 30 latach do sprawy pewnego morderstwa. Dziś podejrzany o zabicie szwagra jest starszym na jego wózku. Ale z przeprowadzonych badań zleconych przez prokuraturę i na prośbę rodziny, która nieustannie dąży do znalezienia szczątków zwłoki pochowania ich, wynika, że mężczyzna wspólnie z nieznanym już kolegą zamordowali swoją ofiarę przy użyciu noża i zakopali ją w skrywanym do dzisiaj miejscu.

Kto układa pytania?

- W każdej sprawie pytania układam sam. Najpierw wnikliwie czytam akta sprawy. Szukam pytań emocjonalnych, które pozwolą mi na formułowanie określonych wniosków co do

przebiegu i okoliczności zdarzenia, ewentualnych osób w nim uczestniczących.

Wiele osób uważa, że pańskie urządzenie da się oszukać.

- Poligrafu nie oszuka nikt. Pracowałem jako ekspert w teleturnieju „Moment prawdy”. Brała w nim udział zawodowa wróżka, przekonana, że oszuka moje urządzenie i zdobędzie główną nagrodę - 250 tys. zł. Niestety, została zdemaskowana jako osoba ukrywająca swoje intymne sprawy osobiste. Wielu ludzi uważało podobnie jak wróżka - wszyscy ponieśli druzgocącą porażkę. Zajmowałem się takimi osobami w wojsku, gdy pracowałem w kontrwywiadzie. Mam doświadczenie. Dobrego eksperta nie oszuka nawet najlepszy agent. Może usiłować coś zafalszować, ale ja to zobaczę. Kiedy widzę, że ktoś kombinuje, przerywam badania ze stosownym wpisem w końcowej opinii.

Sposobów, jak zafalszować zapis badania, jest w internecie mnóstwo.

- Wszystkie znam. Jeden agent podczas badania tłumaczył się: „Wczoraj buty kupiłem, są za ciasne, dlatego taki wymiłek”. Mówię: „Zdejmij pan te buty, co się pan męczysz, ja jestem facet z armii i nawet jak pan skarpet nie zmienił przez dwa miesiące, to ja to znośę”. Zdjął te buty, ale niewiele mu to pomogło. Reakcja nie idzie z butów, ale z mózgu. Wiem, jakich sztuczek używał, ale nie powiem. W tym temacie nie daję się naciągać na żadne rozmowy. Po co mam komuś dawać instruktaż.

Są sprawy, które szczególnie zapadły panu w pamięć?

- Był raz sędzia podejrzany o porwanie 12-letniego chłopca w celach okupniczych. Po badaniach okazało się, że zamordował to dziecko, a potem domagał się łupu od rodziców. Znal ich, chłopca też. Zwabił go do swojej siłowni, zamordował i wywiózł.

Kiedy opracowywałem pytania, nie było wiadomo nic: gdzie jest chłopiec, czy żyje i co się z nim stało. Sędzia znalazł się w kręgu podejrzanych, bo anonimowy list z żądaniem okupu napisano na jego maszynie. Na podstawie moich badań ustaliłem, że Krzyś, bo tak miał sędzia na imię, posiada bezpośredni i rzeczywisty związek z uprowadzeniem i zamordowaniem dziecka. Wskazałem również miejsce, gdzie

”

- Najczęściej zgłaszają się do mnie różni dewianci, którzy szukają potwierdzenia swoich wyobrażeń, że żona zdradziła. Niech się pomylę, a nie wiadomo, co taki zrobi z ukochaną

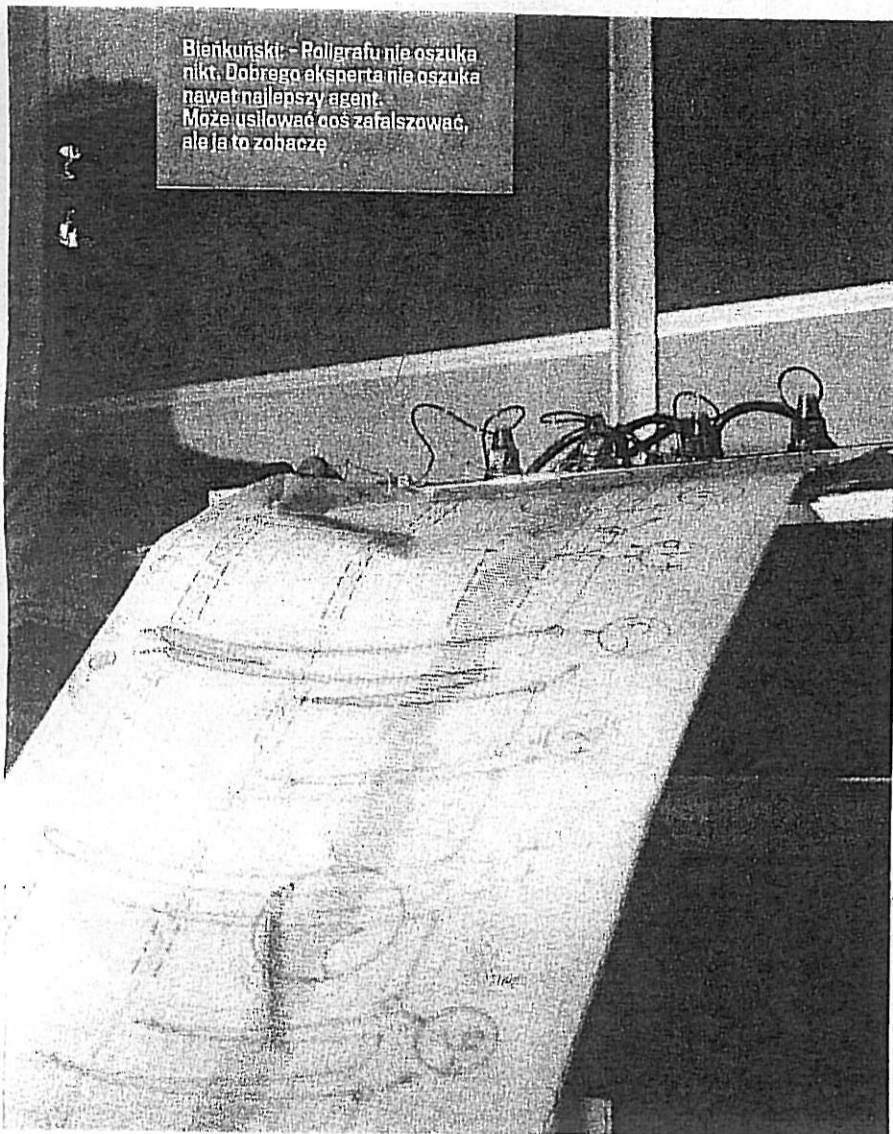
”

- Miałem badać Lecha Wałęsę, ale wycofał się w ostatniej chwili

szukać zwłok. Znalaziono go w jednej z pięciu miejscowości, które sędzia wskazał jako alibi na dzień, kiedy dziecko zniknęło. Pytałem: „Krzysiu, dziecko jest ukryte tu, czy może tu?”. Reagował tylko na jedną miejscowość. Tam właśnie w studni znaleziono chłopca uduszonego sznurem.

Albo chłopak stajenny o imieniu Maryś, który zamordował dwie studentki z Poznania. Żeby usunąć ślady zbrodni, palił ich ciała najpierw w kominku, potem w ognisku i rozrzucał proch po okolicznych polach. Sprawę umorzono. Jednak dzięki mnie i pracy policji z Gorzowa Wlkp. udało się go zdemaskować i skazać.

Tu muszę powiedzieć coś bardzo ważnego: jeśli jako ekspert odnoszę sukces, to jest to zawsze sukces całej ekipy śledczej, wielu ludzi, którzy ciężko na to pracowali. Bo to nie jest tak, że przyjdzie facet z walizką i rozwiąże wszystkie zagadki. Moje wskazania należy bardzo dokładnie zweryfikować.



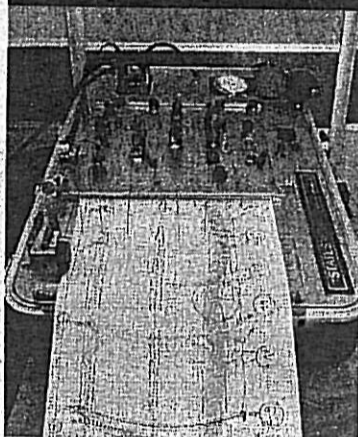
Bienkuński: - Poligrafu nie szuka nikt. Dobrego eksperta nie szuka nawet najlepszy agent. Może usłować coś zafalszować, ale ja to zobaczę.

HISTORIA WARIOGRAFU

Pudło kłamstw

Pierwszy poligraf wyprodukowali Amerykanie już w latach 30. XX w. Służył głównie do wykrywania szpiegów obcego wywiadu. Nad jego wynalezieniem pracował Leonard Keeler, psycholog. Jego „pudło kłamstw” pozwoliło m.in. rozwiązać głośną sprawę kradzieży klejnotów koronnych rodziny Hesse wartych milion dolarów.

Pierwszy sprowadzony do Polski poligraf nazywał się Keeler. Był zasilany bateriami, trzykanałowy. Jednocześnie badał zmiany w oddechu, ciśnienie krwi i oddech skórno-galwaniczny.



MACIEJ ŚWIERCZYŃSKI (7)

Stajennego Marysia pytałem, czy dziewczyny są ukryte w domu, w piwnicy, w stodole, na terenie posesji, poza jej terenem, na polach, w stawie, na mokradłach. Reagował na staw. Policjanci wypompowali wodę i przesiali mul przez sito. Ogromna, ciężka praca. Znaleźli dwie kości żuchwy, które należały do poszukiwanych dziewczyn. Ich rodzice odetchnęli z ulgą, mogli pochować szczątki na cmentarzu. Stajennego Marysia skazano na 25 lat pozbawienia wolności.

Dlaczego mówi pan zdrobniale o tych ludziach?

- Zwracam się tak, aby mieć z nimi lepszy i bezpośredni kontakt. Na początku badań zawsze przyjmuję, że są niesłusznie podejrzani. Staram się im pomóc. Przy tym zawsze sprzedam: jeżeli jest inaczej, niż twierdzą, moje badania dodatkowo ich pogrążą - wtedy lepiej z nich zrezygnować. Ludzie mają także prawo na każdym etapie badań. Najczęściej jednak faktyczni sprawcy liczą na to, że uda się im oszukać to urządzenie. Ta decyzja kończy się zazwyczaj długim pobytom w więzieniu, czasem dożywotciem.

Pańską pracę oceniają niezależnie i niezawisłe sądy.

- Teraz narobiło się poligrafów, pozał się Boże superspecjalistów. Zajmują się głównie sprawami damsko-męskimi - zdradami małżeńskimi. I żeby nie brać odpowiedzialności za to, co robią, często dają odpowiedź: „Może zdradziła, a może nie”. A tyle człowiek wie i przed badaniem. Kasę biorą za nic. Ja w sprawach kryminalnych swoją opinię muszę obronić w sądzie, a jest to niezwykle trudne.

Jeżeli uda mi się oczyścić z podejrzeń kogoś, kto jest niesłusznie podejrzewany o potworną zbrodnię, a sąd to zweryfikuje, mam dużą satysfakcję. Albo kiedy wskażę zbrodniarza - wiem, że już nie będzie więcej czynił zła. Ciężko na mnie ogromna odpowiedzialność. Jestem tylko człowiekiem. Ta praca to nie jest zabawa; jakiś czas temu odbiła mi się na zdrowiu. Kiedy się człowiek naogląda filmów z miejsc zbrodni, zdjęć z oględzin i wizji lokalnych, to wszystko siedzi potem w mózgu. Już ponad 20 lat mam do czynienia z najgorszymi, najohydniejszymi zbrodniami, jakie można sobie tylko wyobrazić.

Co pan robi dla przeciwwagi?

- Dla przeciwwagi zajmuję się czasem jakimiś sprawami damsko-męskimi. Najczęściej jednak zgłaszają się do mnie różni dewianci, którzy szukają potwierdzenia swoich wyobrażeń, że żona zdradziła. Niech się pomylę, a nie wiadomo, co taki zrobi z ukochaną. Bo to już nie jest tak, że odejdzie i zostawi kobietę samą z dziećmi. On jej może zrobić krzywdę. Dlatego najczęściej odsyłam do psychiatry czy psychologa. Zanim się podejmę takich badań, najpierw długo rozmawiam z ludźmi i staram się ustalić, czy zależy im na potwierdzeniu obiektywnego stanu rzeczy, czy na potwierdzeniu własnych urojeń. Polak lubi Polakowi wrzucić coś do życia, zasieć jakąś wątpliwość. Jeden widzi, że drugiemu dobrze, to rozpęta plotkę, że go zdradza żona. Takim ludziom staram się pomóc.

Z pana usług korzysta słynne krakowskie Archiwum X, kryminalny wydział do spraw beznadziejnych.

- Policjanci z krakowskiego Archiwum X to, można powiedzieć, ostatni Mohikanie. Jak odejdą, nie znajdą następców swojej klasy. Nie patrzą na swój wolny czas, na rodzinę, na pieniądze - mają do wyjaśnienia sprawę, to się angażują, nawet za cenę zdrowia czy narażenia się przełożonym. Ostatnio prowadziłem z nimi sprawę, w której przebadalem 21 bezdomnych.

Zaczęło się od znalezionej na Plantach w Krakowie kadłuba kobiety. Nie było wiadomo, kto to jest, więc jak szukać sprawcy? Umorzono sprawę, ale policjanci z Archiwum X po kilku latach ustalili tożsamość ofiary. Zadałem tylko hipotetyczne pytania, dzięki czemu zawęzili liczbę zaangażowanych bezpośrednio z 21 do siedmiu osób. Jedna z nich okazała się mordercą. Po trzech latach sformulowano akt oskarżenia, który w dużej mierze składał się z wyników moich badań.

Kim była ofiara?

- prostytutką, która nie chciała podporządkować się szefowi bandy bezdomnych z Plant. Zabij ją. Reszta części jej ciała znalazła się na terenie różnych dzielnic Krakowa.

Sąd początkowo nie chciał brać pod uwagę wyników moich badań. Prokurator poprosił, bym przygotował orzeczenia innych sądów o wartości tych ba-

dań. Wezwano mnie na rozprawę, zeznawałem cztery godziny. Skazano siedem wytypowanych przeze mnie osób. Moje historie to dokumenty, nie opowieści. Odniosłem wiele sukcesów. To dodaje mi sił do dalszej pracy.

W Polsce nie można nikogo skazać tylko na podstawie wyników badań na poligrafie?

- Stosowana przeze mnie i innych poligrafów metoda od lat jest negowana, zwłaszcza przez teoretyków procesualistów. Uważam, że niesłusznie. Badanie na wariografie znacznie obniża koszty postępowania przygotowawczego, pozwala szybko wskazać miejsca ukrycia dowodów, eliminuje niewinnych. I mimo tej negacji sądy coraz częściej dostrzegają wartość wynikającą z tych badań. Nowoczesne techniki bardzo ułatwiają prowadzenie śledztwa. Dziś można wrócić do starych spraw, w których moje badania były jedynym i niedostatecznym dowodem. Można się do tych spraw cofnąć, pobrać próbki, porównać DNA i skazywać sprawców sprzed lat.

Używa pan analogowego poligrafu?

- Tak, używam urządzenia analogowego, bo uważam, że jest lepsze od komputerowego. Jakiś czas temu miałem kontrolę z Departamentu Kontroli Eksportu USA, który oceniał przydatność i sposób wykorzystania tego wariografu w Polsce. Kiedy kupowałem wariograf, była wymagana zgoda tego departamentu - stąd ta kontrola. Obecnie jest wolny rynek - każdy może wariograf kupić i wykorzystywać go, jak chce. Dlatego w sądzie zawsze mówię: „Urządzenia oszukać się nie da, eksperta - tak”. Była głośna sprawa szpiega nazwiskiem Eims, który wiele lat pracował w Ośrodku Atomistyki w USA i szpiegował na rzecz KGB. Dwukrotnie pozytywnie przeszedł testy. Kiedy rozmawiałem z czołowymi poligrafierami z USA, pytałem, jak to możliwe. Powiedzieli, że badał go niedoświadczony ekspert. Gdy po latach obejrzyli wyniki tych badań, uznali, że szpieg ten coś ewidentnie kombinował. Dziś by go zdemaskowano.

A pan kłamie?

- Zawsze mówię prawdę. I dlatego nigdy się nie pomylę. Jak człowiek nałgał, to się zawsze później pomylę. Można zapytać moją żonę. Zresztą - co ja mogę mieć na sumieniu? ○

DQ80251 - świt nad Bytomiem

W najszybciej zapadającym się śląskim mieście powstał najszybszy procesor świata.

Zamurowane lub zabite dechami okna kamienic w centrum miasta, pękające z powodu szkód górniczych ulice i domy, co piąty mieszkaniec na bezrobociu. Bytom.

Ogólnopolskie media zaglądały tu rzadko. Chyba że dojdzie do morderstwa albo chora matka zabije dziecko. Dobrze sprzeda się też jakaś katastrofa budowlana albo wielkie wyburzenie, jak te sprzed dwóch lat w dzielnicy Karb. Od 1965 roku za sprawą działalności kopalni teren w tym rejonie osiadł o 18 metrów. W 2011 r. ściany domów w Karbie nagle zaczęły pękać. Musiało się stąd wyprowadzić kilkaset osób. Budynek zrównano z ziemią, a w świat poszedł obraz nędzy i rozpacz.

- Miasto podupadło. To fakt. Kojarzy się tylko z kopalniami i hutami. Ale hut już nie ma, a kopalnia została tylko jedna. Mam nadzieję, że wkrótce zaczną się o nas mówić inaczej. Teraz jest źle, ale wiadomo: najciemniej jest zawsze tuż przed świtem. Zostało tu trochę ludzi, którzy chcą coś zrobić i kochają to miasto - mówi rodowity bytomianin Jacek Hanke.

Hanke jest jednym z nich. Przez kilka lat organizował tu festiwal marynistyczny. Dziś nie ma już na to czasu. Wraz z dwójką kolegów ze studiów informatycznych na Politechnice Śląskiej prowadzi własną firmę. Jej skromna siedziba to mający najlepsze lata za sobą biurowiec przy ul. Wrocławskiej. Za oknami krajobraz zachęcający do szybkiej ucieczki - naprzeciwko dawna kopalnia Centrum, a kilkaset metrów dalej ponury, zniszczony Karb.

W biurze Jacka Hankego pracuje dziesięć osób. To ekipa firmy Digital Core Design. Wszyscy studio wali na Śląsku albo na krakowskiej AGH. 4 marca zaprojektowany przez nich procesor DQ80251 był jedną z głównych atrakcji targów CeBIT 2013 w Hanowerze. Jako jedno z nielicznych urządzeń zostało zaprezentowane podczas otwarcia imprezy kanclerz Angeli Merkel i premierowi Donaldowi Tuszkowi.

- Procesor domem z Bytomia był jednym z trzech polskich produktów pokazanych podczas tej uroczystości. Polska chwaliła się też czujnikiem podczuwani, w który był wyposażony łazik wysłany przez NASA na Marsa, oraz elektroniczną kostką do gry - mówi Tomasz Cwienk, rzecznik DCD.

DQ80251 opiera się na standardzie 8051 wypracowanym przez

firmę Intel w 1980 r. Od ponad trzydziestu lat inżynierowie elektronicy na całym świecie piszą dla niego programy. Dlatego ten mikrokontroler jest jednym z najczęściej używanych procesorów. W jednym komputerze może ich być nawet kilkudziesiąt, podobnie jak w nowoczesnym samochodzie czy lodowce. Taki procesor jest też prawie na każdej karcie SIM. Zajmuje mniej więcej 0,2 milimetra kwadratowego.

Na czym polega sukces firmy z Bytomiem? Zaprojektowane przez jej inżynierów urządzenie jest aż 66 razy szybsze od konkurencyjnych procesorów opartych na tym samym standardzie.

Hanke wyjaśnia, że jego firma nie produkuje DQ80251. To klienci kupują licencję na produkcję procesora. Są nimi światowi giganci. Z rozwiązań stworzonych w Bytomiu korzystają m.in.: Toyota, Intel, Sony, Philips, Siemens, Sagem i General Electric. - Wśród naszych klientów są też światowe firmy zbrojeniowe. Ich nazw nie możemy jednak wymienić - mówi Jacek Hanke.

Z rozwiązań stworzonych w Bytomiu korzystają m.in.: Toyota, Intel, Sony, Philips, Siemens, Sagem i General Electric

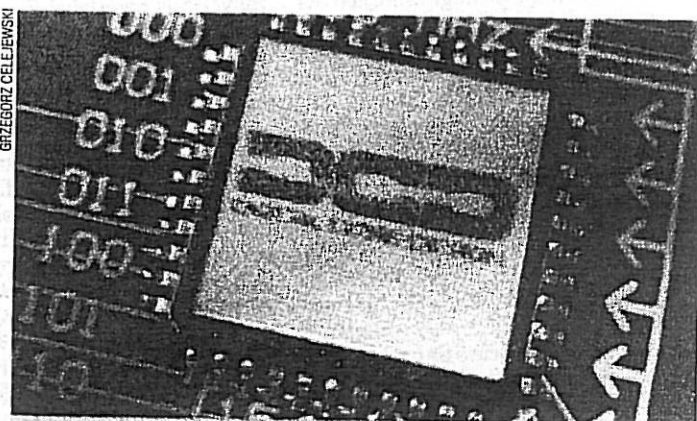
Po co się tak ścigać? - Chodzi o czas i wygodę. Taki procesor jest na przykład w każdej pamięci USB. Chciałby pan kopiować wakacyjne zdjęcia z pendrive'a na komputer przez parę dni? Wątpię. Szybki procesor sprawi, że cała operacja zajmie kilka chwil - wyjaśnia Jacek Hanke.

- Niektórzy informatycy już dawno mówili, że standard 8051 czeka koniec. Jest jednak inaczej. Zastosowań tego mikrokontrolera wciąż przybywa. Przykłady? Wszystko zależy od pomysłowości twórców urządzeń. Możemy np. kupić sprytne pokrętko do kaloryfera, które samo ustawi temperaturę w pokoju, zaczynają się też pojawiać karty płatnicze, które wyświetlają stan konta. Jakoś to musi działać. Potrzebny jest szybki procesor - dodaje Hanke.

DCD miało kilka propozycji przeniesienia się z Bytomia do Europy Zachodniej i do USA, ale właściciele zawsze odmawiali.

Pytany o wartość firmy Hanke nabiera wody w usta. - Nigdy tego nie liczyłem - mówi. ○

PRZEMYSŁAW JEDLECKI



DQ80251 ma 0,2 mm kw i jest 66 razy szybszy niż konkurencyjne procesory

WITAMY W POLSCE EKSTRA

LISTY PO ROZMOWIE Z EKSPERTEM OD BADAŃ WARIOGRAFICZNYCH



MAGDYLENA SWIERCZYŃSKA

PROF. JAN WIDACKI

NIE RÓBMY CYRKU

W związku z wywiadem, jakiego udzielił „Gazecie” p. Jacek Bieńkuński [„Gazeta”, 15 marca 2013], chciałem zgłosić kilka uwag.

Przede wszystkim badanie poligraficzne (wariograficzne), wbrew temu, co można by sądzić po treści wywiadu, jest poważną metodą identyfikacji kryminalistycznej dopuszczalną w polskim procesie karnym na mocy przepisów kodeksu postępowania karnego. Jest też na mocy przepisów ustaw dopuszczalne w postępowaniach kwalifikacyjnych i kadrowych w polskich służbach policyjnych i specjalnych.

Badania poligraficzne opierają się na potężnym zapleczu naukowym, z ich zakresu ukazały się setki publikacji naukowych, poświęcone im są co najmniej dwa specjalistyczne pisma naukowe („Polygraph” i „European Polygraph”). Badania podstawowe z tego zakresu wykonywane są w licznych ośrodkach naukowych na świecie, przede wszystkim w USA.

Wartość diagnostyczna (trafność rozstrzygnięć) takiego badania, o ile zostało wykonane poprawnie przez wykwalifikowanego eksperta, wynosi ok. 90 proc. Każdy wynik badania wymaga zatem oceny w kontekście innych dowodów, a oceny takiej w procesie karnym dokonuje organ procesowy.

Badanie wykonywane być musi w specjalnych warunkach - tak by badany izolowany był od wpływu innych bodźców. Dlatego też wykonywanie takiego badania na oczach publiczności, w telewizji, w cyrku czy na jarmarku nie ma najmniejszego sensu.

W śledztwie badanie takie ma sens jedynie w możliwie najwcześniejszej fazie postępowania, bezpośrednio po zatrzymaniu podejrzanego. W miarę upływu czasu, gdy podejrzany uczestniczył już w rozmaitych czynnościach procesowych, badanie takie traci sens. Już z tego widać, że badanie dziś Lecha Wałęsy na okoliczność, czy był agentem „Bolkim”, czy nie, pozbawione jest najmniejszego sensu i służyć może tylko politycznej awanturze.

Wedle powszechnie akceptowanych zasad etyki ekspertów badań poligraficznych badanym nie wolno zadawać pytań dotyczących danych wrażliwych. Pytanie badanego, „czy jest obrzezany”, jest absolutnie z etycznego punktu widzenia niedopuszczalne, a zadanie takiego pytania zniechęca, bez wcześniejszego uzgodnienia z badanym, niezależnie od etyki, jest sprzeczne z elementarnymi regułami sztuki. Opowiadanie publicznie (np. w wywiadzie dla gazety), że takie pytanie się zadalo, jaka była odpowiedź i jaki był tego wynik, jest ewidentnym naruszeniem dóbr osobistych.

Wywiad w „Gazecie Wyborczej” kompromitował Jacka Bieńkuńskiego w środowisku poligrafistów, ale przy okazji ośmieszał same badania poligraficzne, dając ich karykaturalny obraz. Wyrządza też krzywdę tym wszystkim ekspertom poligrafu, którzy badania wykonują profesjonalnie, zgodnie z regułami sztuki i etyki. ◊

PROF. ZW. DR HAB. JAN WIDACKI

CZŁONEK AMERICAN POLYGRAPH ASSOCIATION, THE BRITISH AND EUROPEAN POLYGRAPH ASSOCIATION ORAZ CZŁONEK ZAŁOZCIELI STOWARZYSZENIA POLIGRAFISTÓW POLSKICH

JACEK BIENKUŃSKI

TO NIE ŚWIĘTOŚĆ

Należy w pełni zgodzić się ze zdaniem prof. J. Widackiego, że badania poligraficzne/wariograficzne stanowią przedmiot opiniowania przez biegłego. Ekspertyzy tego rodzaju są wykonywane w Polsce od wielu lat. Niekiedy może się zdarzyć, że pomiędzy biegłymi powstaną różnice interpretacyjne. W przedmiotowym wywiadzie nie mówiliem przecież nic innego. Problem wartości diagnostycznych badań jest dyskusyjny, gdyż nie istnieje jedna skala pomiaru tejże wartości.

Co do zasady też, jak podaje prof. J. Widacki, badania powinny być przeprowadzone w pierwszej fazie postępowania przygotowawczego. Niekiedy jednak w wyniku okoliczności zupełnie niezależnych od eksperta badania te są zlecane w innej fazie postępowania. W każdym takim przypadku sprawę należy

ocenić indywidualnie. W kryminalistyce nie wolno wręcz zakładać, że jakieś ślady czy metody śledcze a priori są nieprzydatne. Może się bowiem zdarzyć taka sytuacja - a miałem takie przypadki w swojej ponad 20-letniej praktyce - że przeprowadzone przeze mnie badania wykazywały brak przestępczego związku badanego z zarzucanym mu czynem zaistniałym przed wieloma laty. W tych sprawach badania te pozwoliły organowi procesowemu wznowić postępowanie, od początku przeanalizować dowody i w konsekwencji doprowadziły do niewinnienia oskarżonego. Czy więc zdaniem prof. J. Widackiego nie można przeprowadzać badań poligraficznych nawet po wielu latach, jeżeli by te badania mogły doprowadzić do niewinnienia niesłusznie skazanego? Czy prof. J. Widacki nie pozbawia przypadkiem podejrzanego czy oskarżonego prawa do obrony?

Udzielenie przeze mnie wywiadu, a także sporadyczne występowanie w mediach, moim zdaniem promuje badania poligraficzne. Formy popularyzacji metod kryminalistycznych w Polsce mają swoją długą historię. Sam prof. J. Widacki w swoich licznych historycznych publikacjach ukazywał dzieje polskiej kryminalistyki. Pomimo pewnej beletrystycznej formy i treści nie umniejszało to godności i powagi Pana Profesora.

Nigdy nie traktowałem przeprowadzanych badań w mediach z przedstawicielami polityki, biznesu i mediów jako badań poważnych. Pewne niefortunne pytania testowe były narzucane przez samych dziennikarzy czy też producenta wyłącznie na użytek programu. Niekiedy wartka akcja programu nie pozwoliła mi na kontrolę niektórych treści. Jednak nie przypominam sobie, żeby w wyniku takich programów, wywiadów ktokolwiek zgłaszał, że został obrażony.

Metoda badań poligraficznych, jeżeli są one stosowane na użytek prawa, musi być traktowana z należytą powagą. Natomiast nie są one świętością i niekiedy w środowiskach medialnych można je stosować z przymrużeniem oka i z poczuciem humoru. ◊

JACEK BIENKUŃSKI

EKSPERT POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRYMINALISTYKI